NR. 3 17 GRUDNIA 1904 R.

Polak w Brazylji

Dodatek Illustrowany

Tybet.

Mówią o Tybecie że. „leży pod obłokami", jestto najbardziej górzysta, najwyżej wyniesiona kraina na całym świecie. Tybet położony jest niemal w środku Azji, na północ od Indji angielskich. Politycznie znajduje się w zawisłości od Chin, chociaż ta zależność istnieje więcej na papierze, niż w rzeczywistości. Dziwny to, a niezmiernie ciekawy kraj. Przyroda tam marna, bo śniegi i lody pokrywają przez większą częć roku góry i doliny. Ludność zajmuje się mało uprawą roli, żyjąc przeważnie z pasterstwa.

Tybetańczycy do dziś dnia znajdują się na bardzo niskim poziomie cywilizacji, ustępując znacznie chińczykom swoim sąsiadom. Do dziś używają broni zapalanej knotem, krzesiwka i hubki do niecenia ognia, odziewają się przeważnie w skóry, żywią się mlekiem i mięsem.



Spotkanie anglików z tybetańczykami.

Co uderza najbardziej cudzoziemca, to nadzwyczajna liczba duchownych w Tybecie, zwanych „lamami". Bez przesady powiedzieć można, że połowa ludności składa się z lamów, prowadzących życie w bezczynności po mnogich klasztorach. Lamowie golą sobie głowy, żyją w bezżeństwie, poświęcając czas postom i modlitwom, które jednak są bardzo śmiesznie i niezgodnie z naszemi pojęciami odprawiane.

Tybetańczyk kładzie napisaną na papierku modlitwę do młynka i obraca w ręku. To się nazywa u niego „modlić się". Im dłużej kręci młynek, tym modlitwa dłuższa. Oprócz tego można widziec wszędy na dachach domów, przy drogach, chorągiewki papierowe z modlitwami; wiatr porusza temi papierkami. Ci co je pozatykali — modlą się w ten sposób. Miejscami woda obraca bębny z modlitwami w środku.

Lamowie żyją bez troski, kosztem ubogiej ludności, składającej im dziesięciny.

Tybetańczycy wyznają religję Buddy i uważają, że ten ostatni wciela się w dziecko. Uznany przez lamów za wcielenie Buddy chłopiec, jest z wielkiemi honorami wieziony do miasta Lassy, gdzie zamieszkuje wspaniały pałac o paru tysiącach komnat, w otoczeniu wyższych kapłanów. Nazywają go najwyższym lamą, to jest Dalaj-Lamą.

Dalaj-lama jest więc u nich tym, czym u katolików do niedawna papież, to znaczy najwyższym kapłanem, namiestnikiem bóstwa na ziemi a zarazem władcą politycznym — prawie królem.

W ostatnich czasach anglicy, korzystając z zamieszek na wschodzie Azji, zaczęli wprowadzać wojska do Tybetu z zamiarem zawładnięcia krajem. Oczywiście z początku zaborcze zamiary pokrywa się projektami kupieckiemi i oświadczynami przyjazni. Z początku Tybetańczycy nie stawiali oporu idącym przez góry anglikom, kiedy jednak wyprawa zbliżyła się do miejscowości Guru, położonej o jakieś 150 wiorst od granicy indyjskiej, spotkała zastęp żołnierzy tybetańskich, którzy dali ognia do anglików ze swoich przedpotopowych karabinów, poczym rzucili się na nich z mieczami.

Wyprawa w odpowiedzi zasypała biedaków gradem kul z magazynówek i z armaty maszynowej, wyrzucającej 1000 pocisków na minutę. Tybetańczycy, nie bacząc na morderczy ogień, walczyli zapamiętale i z pogardą śmierci; anglicy otoczyli ich, wprowadzili swoje działa górskie i prażyli szrapnelami uciekających. Około 500 tybetańczyków padło trupem; anglicy dawszy tę „nauczkę" bezbronnemu prawie nieprzyjacielowi, poszli naprzód w kierunku świętego miasta buddystów.

—o—

Załączony rysunek przedstawia spotkanie się anglików z wysłańcami Dalaj-Lamy. Na lewo widać anglików, a na prawo pod parasolem z długim piórem u czapki siedzi na koniu dostojnik tybetański. Ten co piechotą naprzód wystąpił i rozmawia z anglikami jest tłumaczem, przy pomocy którego prowadzi się rozmowa.

—o—

MORDERSTWO PRZY ULICY MORG

W PARYŻU.

Z angielskiego. 3

Ciąg dalszy.

Przez cały dzień następny nie widziałem się z panem Augustem; dopiero wieczorem, gdy znowu zasiedliśmy przy kominku, niespodziewanie zapytał mnie, czym nie dostrzegł nic osobliwego we wszystkich okropnościach tej zbrodni.

W jego sposobie wymawiania wyrazu „osobliwego" było coś takiego, co dreszczem po mnie przeszło.

— Nie, nic osobliwego, — odpowiedziałem, — nic więcej prócz tego, co obadwaj przeczytaliśmy w dzienniku.

— Zdaje mi się — odpowiedział p. August, że dziennik nie dostatecznie opisał niezwykłą okropność całego zdarzenia. Podług mnie cała ta tajemnica uważana jest za nierozwiązalną dla tych samych powodów, które do jej rozwiązania wskazówką służyć powinny — mam tu na myśli cały „przesadny" charakter wszystkiego, co się zdarzyło. Policja jest zbita z tropu brakiem pobudek — nie do morderstwa, tylko do spełnienia go w tak okrutny sposób. Zdziwieni są oni także tym faktem, że podczas wchodzenia na schody słyszano jakieś obce głosy, po wejściu zaś do pokoju zabitej nikogo, tam nie znaleziono; a schody były tylko jedne, czyli nikt nie mógł wyjść z domu. Dalej dziki nieład pokoju; ciało wciągnięte w komin głową na dół; straszne pokaleczenie ciała starszej pani; wszystkie te dane, łącznie z tym, co już zaznaczyliśmy dostateczne były, aby zupełnie sparaliżować osławioną przebiegłość ajentów policyjnych. Ale poszukujący prawdy człowiek rozumny w tych właśnie odstępstwach od zwykłych okoliczności towarzyszących morderstwom, w tych nadzwyczajnościach szuka właściwej wskazówki. W naszych poszukiwaniach musimy przedewszystkim zastanowić się nad pytaniem — nie „co się zdarzyło", jeno „co się takiego zdarzyło, czego nigdy przedtym nie było". W gruncie rzeczy ta łatwość, z jaką doszedłem, albo dojdę, do rozwiązania tej zagadki, wprost uwarunkowana jest temi samemi danemi, które czyniły ją nierozwiązalną dla policji.

Patrzałem na niego w niemym zdziwieniu.

— Oczekuję teraz — ciągnął p. August, spoglądając na drzwi — oczekuję jednego człowieka, który nie był wprawdzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, bezpośrednim sprawcą zbrodni, ale w każdym razie wmieszany jest w całą sprawę. Mam nadzieję że przypuszczenia moje są słuszne; uzasadniam na nich rozwiązanie całego węzła. Tego człowieka spodziewam się tu w każdej chwili. Być może, że nie przyjdzie, większe jednak jest prawdopodobieństwo, że przyjdzie. Jeśliby przyszedł, niezbędną będzie rzeczą zatrzymać go. Oto są pistolety; obadwaj potrafimy zrobić z nich właściwy użytek, gdy zajdzie tego potrzeba.

Przysunąłem ku sobie pistolety, zaledwie zdając sobie sprawę z tego co robię. Tymczasem p. August chodził po pokoju i mówił dajej, jakby sam do siebie. Głos jego przybrał jakieś dziwne brzmienie, zdawało się, że mówi do kogoś bardzo oddalonego.

— Że głosy słyszane na schodach, nie należały do żadnej z zabitych kobiet, to jest dowiedzione. To uwalnia nas od wątpienia w kwestji, czy starsza pani zabiła swą córkę, sama później się zabijając. Mówię o tym jedynie, aby być systematycznym; ponieważ siła pani Espenaj w żadnym razie nie mogłaby wystarczyć do wbicia w komin ciała jej córki, tak jak było ono znalezione; przytym rodzaj ran na ciele starszej pani zupełnie usuwa możliwość samobójstwa. A więc morderstwo przez kogoś trzeciego zostało spełnione; i głosy tego kogoś trzeciego słyszano na schodach. Zwróćmy teraz uwagę — nie na cały zebrany od świadków materjał — lecz na to tylko, co było „osobliwego" w tych świadectwach. Czy nie zauważał pan w nich nic osobliwego?

— Zwróciła moją uwagę—odpowiedziałem—ta okoliczność, że podczas gdy wszyscy świadkowie zgadzali się na to, że gruby głos należał do francuza, odnośnie głosu piskliwego zdania były najrozmaitsze.

— Tak, to było widoczne — rzekł p. Agust, — lecz nie tu była „osobliwość" tych świadectw. A przecież było tam coś niezwykłego. Jak pan zauważył, świadkowie zgadzają się między sobą odnośnie grubego głosu. Co się zaś tyczy głosu ostrego, „osobliwość" nie w tym leży, że nie zgadzają się oni, jeno w tym, że włoch, anglik, hiszpan, holender i francuz — każdy przypisuje go cudzoziemcowi. Każdy jest pewny, że nie był to głos jego rodaka. Francuz określa go, jako głos hiszpana „i rozróżniłby wyrazy, gdyby znał hiszpański język". Niemiec utrzymuje, że był to głos francuza, ale jednocześnie czytamy o nim, że „jako nieznającego języka francuskiego, musiano słuchać go przez tłumacza". Anglik sądzi, że był to głos niemca, a „nie rozumie po niemiecku". Hiszpan „jest pewny", że był to anglik, lecz „sądzi jedynie z intonacji", ponieważ „nie zna angielskiego języka". Włoch utrzymuje, że był to głos rosjanina, ale „nigdy nie rozmawiał z rosjaninem". Oprócz tego drugi francuz nie zgadza się z pierwszym i twierdzi, że był to głos włocha; ponieważ jednak „nie zna włoskiego języka", podobnie jak hiszpan, sądzi na zasadzie intonacji. Jak więc dziwny musiał być ten głos w rzeczywistości, skoro mógł wywołać tak różne, mniemania; jak dziwne musiały być te dźwięki, jeśli przedstawiciele pięciu wielkich narodów europejskich nie znaleźli w nich nic znanego sobie! Powiesz pan, że mógł to być głos jakiegoś azjaty albo afrykanina. Ani azjatów ani afrykanów niema tak dużo w Paryżu. Uwagę pańską zwrócę na jeden jeszcze punkt. Głos ten określony jest przez jednego świadka: „raczej ostry niż piskliwy".

Dwaj drudzy wyrażają się że był „nierówny“. Nikt ze świadków nie rozróżnił żadnych wyrazów, żadnych dźwięków wyrazy przypominających.

— Nie wiem — ciągnął p. August — jak zapatruje się pan na moje wywody; ja bowiem z tej części świadectw, części odnoszącej się do grubego i piskliwego głosu, wyprowadzam podstawy do wszystkich dalszych przypuszczeń. Przenieśmy się myślą do tamtego pokoju, w którym spełniono morderstwo. Czegóż najpierw będziemy tam szukali? Sposobu, w jaki mordercy wyszli z pokoju. Nie potrzeba, objaśniać, że nikt z nas nie wierzy w nadnaturalne przyczyny. Pani Espenaj i jej córka nie zostały zabite przez duchy. Sprawcy tego czynu byly to istoty materjalne i uciekli w sposób materjalny. A więc? — Na szczęście można tu rozumować tylko w jeden sposób i musi nas to doprowadzić do rozwiązania. Zbadajmy po kolei wszystkie sposoby wyjścia. Jasną jest rzeczą, że podczas gdy ludzie wchodzili na schody mordercy musieli być w pokoju, w którym znaleziono pannę Espenaj, albo w sąsiednim; musimy więc tylko z tych pokojów szukać wyjścia. Policja starannie zbadała podłogi, sufity i wszystkie załamy ścian. Żadne „ukryte“ przejście nie mogłoby ukryć się przed ich sumiennością. Pomimo to nie wierząc ich oczom, osobiście wszystko zbadałem. Nie było tam więc „ukrytego“ wyjścia. Obydwoje drzwi wiodących z pokoju na korytarz były starannie zamknięte na klucz od wewnątrz. Zwróćmy się do kominów. Ich otwór dymowy, zaczynający się na wysokości ośmiu lub dziewięciu stóp nad ogniskiem jest takiej szerokości, że zaledwie kot mógłby przejść przez niego. Widzimy więc, że temi drogami nie było wyjścia; pozostają nam tylko okna. Przez okno wychodzące na ulicę nikt nie mógł uciec, niepostrzeżony przez stojących na dole ludzi. Morderca zatym musiał wyjść przez okno tylnego pokoju.

— W pokoju tym są dwa okna. Jedno z nich jest niczym nie zastawione i widzialne w całości. Drugie zaś w swej dolnej części zasłonięte jest poręczą od łóżka, które do samego okna jest dosunięte. Pierwsze okno było mocno zamknięte od wewnątrz. Oparło się największym wysiłkom tych, co chcieli je otworzyć. Było ono zasunięte szeroką zasuwką, wchodzącą w wyżłobienie w ramie. Przy oględzinach drugiego okna znaleziono je zamknięte taką samą zasuwką; i tak samo oparło się ono usiłowaniom odepnięcia go. Policja więc była zupełnie zadowolona, że ucieczka nie mogła tędy się odbyć. A z tego powodu było rzeczą zupełnie zbyteczną odsuwać zasuwki i okno otwierać.

— Moje badanie było nieco bardziej szczegółowe. Rozumowałem zaś w ten sposób. Mordercy uciekli przez jedno z tych okien. Jeśli tak było, zasuwki nie mogły być zasunięte od wewnątrz;—ta ostatnia okoliczność zupełnie zbijała z tropu policję. A jednak były one zasunięte. Musiały one zątym tak być urządzone, że same się zamykały. Nie mogło być innego wniosku. Starannie obejrzałem pierwsze okno; odsunąłem zasuwkę i próbowałem otworzyć je. Zawiasy i wrąb ramy tak były zasnute starym kurzem, że najwidoczniejszą było rzeczą, jako okno to oddawna nie było otwierane.

— Przeszedłem do drugiego okna, to tego które było zastawione łóżkiem. Podniosłem zasuwkę i otworzyłem je z łatwością. Gdym później szarpnął oknem mocno do siebie, zatrzasnęło się, a od uderzenia zasuwka sama obsunęła się. D. c. n.

—o—



Zamaskowane baterje japońskie.

NASZE RYCINY.

PODSTĘP W BITWACH.

Od czasu jak istnieją na świecie wojny, zawsze strony walczące posiłkowały się, oprócz zwykłego oręża jeszcze mnóstwem różnych sposobów podstępnych, któremi szkodzono sobie nawzajem.

W obecnej wojnie rosyjsko-japońskiej tego rodzaju sposoby również znajdują zastosowanie.

Jednym z nich są tak zwane kule końskie. Są to kule drewniane z ponabijanemi ostrzami, skonstruowanemi tak, iż w każdem położeniu kuli jedno ostrze sterczy zawsze do góry.

Kule te są postrachem dla kawalerji, rozrzucane bowiem na wąskich drogach górskich, któremi dążyć musi jazda, straszliwie kaleczą konie, wbijając się w ich nogi czynią je niezdolnemi do dalszej służby w szeregu.

„Kule końskie" strzegą też obóz od nagłego napadu nocnego, w wielkiej liczbie rozsypane dokoła. Szczególnego tego środka walki używają podobno zarówno rosjanie, jak i japończycy.

Drugim sposobem zgnębienia wroga są owe druciane płoty kolczaste, o których czytamy ciągle w depeszach, donoszących o szturmach do Port Artura.

Druty przymocowane są do mnóstwa słupów i pogmatwane tak, iż tworzą sieć do nieprzebycia prawie, w której oddziały nieprzyjacielskie wystrzeliwane często bywają co do nogi, wprzód nim zdołają się z niej wydobyć.

Żołnierze japońscy zaopatrzeni zostali w specjalne nożyce do przecinania tych straszliwych przeszkód.

Jeszcze inną niespodziankę dla nacierających pułków stanowią miny lądowe, zapalane zapomocą elektryczności i ukryte na drodze pochodu wojsk.

Mało za to znaną jest dotychczas rola rowów, utkanych w środku ostremi palami, z wierzchu zakrytemi i niewidocznemi dla pierwszych szeregów nacierającej piechoty.

Wpadłszy do rowów tych, atakująca kolumna siłą impetu wbija własnych żołnierzy na ostrza i idzie dalej chyba po ich trupach.

Podany na poprzedniej stronicy rysunek, przedstawia jeszcze jeden podstęp wojenny. Polega on na tym, że ukrywa się armaty za ścianą z grubych bali, pokrywając jednocześnie te bale świeżo ściętemi gałęziami, tak że robią one wrażenie kęp drzew lub krzaków.

Kula armatnia po wyjściu z lufy nie idzie po linji prostej, lecz po linji łukowatej: podnosi się ona najpierw do góry, a później znowu obniża się, zanim trafi w cel; — jak kamień rzucony ręką. Z tego powodu, strzelając z armat mierzy się lufą jakby gdzieś znacznie wyżej, niż cel. Im cel jest bardziej oddalony, tym wyżej trzeba lufę armaty podnosić. Stąd pochodzi dość dziwny na pozór fakt, że można stać o kilkadziesiąt kroków przed wylotem armaty i nie być trafiony kulą, podczas gdy te same kule nieco dalej rozbijają oddziały nieprzyjacielkie.

Opierając się na tym można było urządzać takie sciany z bali przed armatami, jakie wyobrażone są na naszym rysunku. Stojąca za ścianą armata nastawiona jest najwidoczniej na dużą odległość strzału, gdyż lufa jej jakby w niebo mierzy; dzięki temu wyrzucane z niej kule przelatują nad ścianą.

Gdy kule padają na oddział najczęściej w pierwszej chwili nie można określić, z której idą strony; dopiero kiedy dojrzy się strzelające nieprzyjacielskie armaty, powiedzieć można na pewno, w której stronie jest nieprzyjaciel. Japończycy też po to używają swych ścian z bali pokrytych gałęziami, żeby rosjanie nie mogli połapać się, skąd kule na nich lecą.

Na naszym rysunku obok ściany widać oficera japońskiego, przez lornetkę przyglądającego się pozycji rosjan.

Mój Grzela.

Mam ci ja we wsi Grzelę —
Parobczak, tęgi zuch!
Nie lubi robić wiele,
A jeśćby jadł za dwóch!

Gdy dobry, uśmiechnięty —
To chcć na rany kłaść!
Lecz nadepcz mu na pięty,
To zaraz pluje w garść!
Za tańcem, za dziewczyną
Na świata szedłby skraj!
Potrząsa „koprowiną"
I krzyka: — Skrzypku, graj!
Gdy ujmie w pół dziewuchę—
Z podkówek sypią skry!
A szepcze: mojaś ty!
A patrzy prosto w ślepki
Że aż się nagnie w pas!
To z ksobki, to z odsiebki
Spogląda raz po raz!
Zna, różne zna piosenki —
I konie lubi Grześ —
Co zajrzy do stajenki,
To głaszcze: „ciesia! cieś!"

Gdy skoczy na kasztanka,
A śmignie w zielny łan —
To biała mu sukmanka
Z wiaterkiem idzie w tan!
Za pługiem przyśpiewuje
I z bicza pali rad...
Lecz czasem coś „sumuje",
Jakby mu chmurniał świat!
Czasem, gdy z leśnej głuszy
Doleci echem strzał —
Mój Grzela westchnie z duszy
I będzie stał a stał.
Czasami po jarmarku
Gdy wraca — „*wiśta*" „*wie*!"
Przy wiejskim, przy cmentarku
Rękawem otrze łzę!
Czasami dziadowina
Nawiedzi naszą wieś...
Ej! ranna już godzina
A dziada słucha Grześ!
A słucha, kręci głową
A grosik w torby pcha!
Ten Grzela, daję słowo,
To kubek w kubek ja!
Zapłaczę ja serdecznie —
Do dziewuch pierwszym zuch!
Do pracy — niekoniecznie,
A jeśćbym jadł za dwóch!

K. Laskowski.

Drobiazgi.

TYGRYSY STAJĄ SIĘ MNIEJ DRAPIEŻNE.

Kiedy rosjanie i japończycy zabijają się codziennie tysiącami w krwiożerczych jatkach, któremi stają się bitwy dzisiejsze, tygrysy zdaje się mają ochotę zawstydzić gatunek ludzki poprawą obyczajów. Tygrysy wyrzekają się mięsa ludzkiego to jest fakt, potwierdza to rząd Indji angielskich w opublikowanej statystyce kociego rodu. Tak w 1903 r. pożarły tygrysy znacznie mniej ludzi niż w latach poprzednich. W prowincjach Szanda, Haszangabad i Kipur tylko 59 osób padło ofiarą tych zwierząt (średnio dawniej ginęło 200 osób). W prowincjach centralnych zaregestrowano tylko 299 wypadków kiedy w 1902 roku liczba pożartych wynosiła 637 ludzi. Wzamian tygrysy pożarły 5.938 owiec kiedy w roku przeszłym pożarły tylko 4.200.

Niewątpliwie tygrysy się cywilizują.

MĄDROŚĆ STAROŻYTNYCH.

Tales z Miletu, jeden z siedmiu mędrców greckich, z wielką przytomnością umysłu odpowiadał szybko na każde pytanie. Przytaczamy tu kilka z takich odpowiedzi.

Zapytano go: co jest najstarszym? ...odpowiedział Bóg, ponieważ był od wieków.

Co jest najobszerniejszym? Przestrzeń, ponieważ wszystko obejmuje.

— Co jest najtrwalszym? — Nadzieja, bo choć wszystko utracimy, ona nam jeszcze pozostaje.

— Co jest najszybszym? — Myśl, bo w mgnieniu oka przebiega świat cały.

— Co najsilniejszym? — Konieczność, bo pokonywa wszelkie przeszkody.

— Co najłatwiejsze? — Dawać innym rady.

— Co najtrudniejsze? — Znać siebie samego.

— Co najmędrsze? — czas, bo uczy wszystkiego i wszystkiego dokonywa.

— Ta Józefowa do istna żmija!

— Mnie się jednak zdaje, że ona mniej obgaduje, niż Tomaszowa.

To tylko dla tego, że się jąka.